

Gołębiowski, Stefan

Wizerunek osobowy : trzecia osoba

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 13, 67-100

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIZERUNEK OSOBOWY TRZECIA OSOBA^{*)}

Trzecia osoba. Milcz serce. Mundury. Kibitki. Nie dbam, jaka spadnie kara. Suche drewno szubienicy. Nam strzelać nie kazano. Wiarus. Mówić nie może. Bracia, rocznica. Za Niemen, hen precz. Nie zginęła.

To w pamięci z nie moich lektur poezja. To od macierzy szkolnej ze szkoły Broniewskiego poezja, którą do domu ze zjazdów rodzinnych wniósł mój starszy pierworodny brat ten, co zginął bez wieści.

Ta w sercu tkwiła, a w oczach ze mną rosła urodzona z krajobrazu. Zaczęła się od drzew domowych, które ojciec szczepił i wszczepił we mnie. Przez nie przeszła do pozadomowych, które bez owoców owocowały we mnie.

Do wierzb pasterskich biegnących z krowami na wygon. Od fujarkowych do ptaszęcych rybnej cigiędźi. Od bocianieję topoli przyzagrodowej droga topolowa grająca kołami do tej, która staje i nie mówiąc mówi TO POLE moje.

W krainie ongiś drzewnej, drzewiej leśnej, a obecnie prawie że bezleśnej, ocalały jedynie małe skupiska drzew: na północ gaj brzozowy, już tylko przydrożny biegnący za kołami, na wschód od mostu płynie łódź rybacka, gdzie za kierkudem Borek suchotniczy i na wschód olszynka pod Białogórą, gdzie z grabiami lazło się po uciążliwych piaskach do sianokosów.

Wreszcie na zachód w zapleczu miałem i mam park pozamojski. Wiodły do niego trzy mosty: na Małej Rzeczce (dziś Swojęciance), na grobli dawniej ze służą przy młynie i trzeci na kanale dookolnym powstałym z fosy z mostem zwodzonym wiodącym do zamku, dziś pałacu.

Dopiero za mostem go było widać. Tonał w zieleni. Bogactwo drzew, których nie umiem opisać i wyliczyć, poszło do tartaku i na ćwiartki. Pamiętam jedynie aleję kasztanów w kandelabrach kwitnącą, niedobitki dębów, grabów, odwieczną lipę, wytrzebione modrzewie i różne drzewa zdziczałe, skąd wiosną do dziś jeszcze o świcie docierają do mnie śpiewy słowicze.

*) Fragment niepublikowanych wspomnień Stefana Gołębiowskiego pt. „Wizerunek osobowy”, mps w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu, syg. MB/DP/361, s. 201-237 (autor nie podał daty, z tekstu wynika, że powstał on około 1984 r.)

Szlochają nad parkiem. Przez ich łkanie słowicze myślą się przenosząc na drugi krańiec do oazy cmentarnej zieleni, od parku pałacowego do parku bieżuńskiego, żywych i umarłych, których długo łączyły pary zakochane.

Dziś na tym cmentarzu panoszą się pobielane groby pustaków. Nie ma już drzew, które czerpały z ziemi i ze zmarłych ciał soki pod zieleni bardziej intensywną. Nie ma nawet ostatniej płaczki brzozy z grobu moich rodziców. Za to w głównej alei z jednej i z drugiej strony przed tobą i za tobą w tropy idzie i natarczywie woła: tu-ja, tu-ja, tu-ja.

Dzięki ojcu przez pokrewieństwo dziedzicząc umiłowanie do drzew, które wciąż się odzywają w ich owocowaniu, nawet i tych bezowocnych, w moich wierszach owocujących, chociaż mój ojciec nie miał nic wspólnego z poezją.

Nie ma porównania z matką rozkochaną w kwiatkach. Panowała w domu, a jednak żyła kwiatami pozadomowymi. Okna od południa i od zachodu nimi oddychały przez pół roku słonecznego. W drugiej połowie doniczkowej i u kresu zimy pudełkowej w domu się zamykały, żeby flancami przejść do ogrodu.

Zaczynały się od rabat wokół klombów przy ligustrze i wzdłuż doaltanowej alei – od fiołków, bratków, pierwiosnków, tulipanów, konwalii, narcyzów, irysów, lilii aż po szalwie, gladiolusy, mieczyki, astry. O innych nie piszę, bo nie mam zamiaru powtarzać się. Jak też o różach z różańca matki.

Nie było zgody co do kwiatów między ojcem a matką. Ojciec kwiaty tolerował tylko ze względu na matkę. Do zgody dochodziło jedynie w słońcu, kiedy maj zakwitł drzewami. Wówczas ojciec brał matkę pod rękę i szli środkową aleją. Przy pięknie kwitnących drzewach przystawali. Podziw budziły niektóre już bardzo stare, a jednak kwitnące nieraz pięknie niż młode.

To były śluby panięskie drzew, bo kawalerów nie było widać, tylko same panny w bieli. Obok nich kwitły bzy i zwłaszcza jaśminy. Zielone Świątki jakże po nich pasowały. Szedł od nich tataracznym zapach rzeki.

Byłem synem średnim, najpierw ojca, potem matki, łączyłem ich drzewa i kwiaty w sobie. Wierny im byłem od początku i wiernym im zostanę do kresu dni moich, bo w nich jeszcze się kryje nieodmilkła pierwsza poezja mego życia. Ta poezja była wymownie niewymowna i ja dla niej wymowy nie szukałem. Dopiero w czasach gimnazjalnych przyszedł do mnie Kochanowski, w którym się zakochałem od pierwszego wejrzenia, potem przyszedł Mickiewicz i przekonałem się, że to jest mój pierwszy Adam

wypędzony z raju. Wreszcie po nim pojawił się trzeci czołowy kreator polskich KaMeN. Norwid z drugiej połowy moich czasów akademickich. Wiek XX zaczął rosnać i wciąż rośnie, rozrasta się, jakby chciał żyć podwójnie dwoma wiekami jednocześnie.

To były moje pierwsze wpływy, których żaden Borowy nie odkryje, bo jeszcze żadnych wierszy nie pisałem. Moje pokrętnie nogi, rzeczne i zarazem niedorzeczne, na to nie pozwalały. Szukały w ręku oparcia raczej w lasce niż w lasce pióra gołębiego w duchu świętym.

Jak tu mówić o poezji, kiedy z liryką współczesną zetknąłem się dopiero pod koniec moich studiów uniwersyteckich. Najpierw przez „Pro arte et studio” i przez samo „Pro arte”, a następnie przez wiślany SKAMANDER, któremu w sukurs przysły pogłębiarki z WIADOMOŚCI LITERACKICH.

Wymieniam czasopisma, a przecież nie one decydowały, lecz osobowość ich indywidualności twórczych. Niepodobnych do siebie, współzawodniczących talentem i wzajem się uzupełniających.

Zaczęła się ta moja współczesna poezja od pokrewnych Staffa „Ścieżek polnych” i od „Łąki” Leśmiana. Nie bez własnych ograniczeń. Moje ścieżki były miedzami zagonów, z których rwałem dla matki kwiaty polne, głównie chabrowy głód oczu. Moja łąka kryła bagno, a zielona rzeka topielca.

Z tego ograniczenia popadłem w drugie, bardziej osobiste, wynikające z trójkąta małżeńskiego: Tuwim, Pawlikowska, Wierzyński, chociaż Pawlikowska nie jest podobna do tych współpartnerów. Małżeństwu wszelako, jak i różnego rodzaju zdradom, to nie przeszkadza.

Inaczej sprawa przedstawia się z drugą trójką. Mam na myśli Lechonia, Słonimskiego i Iwaszkiewicza. Jak w bajce Kryłowa łabędź, szczupak i rak á rebour, każdy po swojemu ciągnie w swoją stronę. Zostawmy wóz w spokoju.

Pierwszy rak cofa się: odżegnuje się od przeszłości, chociaż w niej tkwi po uszy. Drugi szczupak w jeziorze łabędzim w sposób agresywny budzi senne karpie do życia bardziej aktywnego, i trzeci tego jeziora jest łabędziem: szuka w niebie dni i nocy, odnajduje je i w nocach się gubi, jest dialektyczny bez syntezy, chociaż twierdzi, że siano musi być zebrane.

W taki mniej więcej sposób powiązałem SKAMANDER poetów poszerzony na użytek własny. Niektórzy krytycy marksistowscy wiążą nierozdzielnie ich poezję z Młoda Polska wyrosłą, jako dekadencja na podłożu naszego kapitalizmu, i związaną z kulturą naszej inteligencji szlachecko-mieszczańskiej.

Szlacheckiej, wysadzonej z siodła po upadku powstania styczniowego i upańszczyźnieniu chłopów, zdeklasowanej i mieszczańskiej w jej historycznym od wieków niedorozwoju, bez ekspansji charakterystycznej dla mieszczaństwa zachodnio-europejskiego, zwłaszcza po rewolucji francuskiej.

Na gruzach takich przeżytków feudalizmu można było jedynie ruiny wysadzać w powietrze i ginąć pod nimi. Tego wymownym dowodem „Lalka” Prusa, w której jedynie lud jest najwartościowszą warstwą społeczną, niestety, żyjący w opłakanej biedzie, nieoświecony i kulturalnie zaniedbany.

Z tego ludu miejskiego i z rugów wiejskich oraz z głodu wiejskiego powstała klasa robotnicza, którą wyniszczoną biologicznie Żeromski ukazał jako niezdolną do prowadzenia walki z kapitalistami i za to krytykował inteligencję piętuszą, że była inteligencją ludzi bogatych.

Żeromski, Wyspiański i, jeżeli o lud chodzi, to Reymont – byli filarami tej inteligencji twórczej. Młoda Polska jednak nie w nich się najpełniej ujawniła, lecz w wieżach z kości słoniowej, w których zamknęli się Przybyszewski z „Życia” krakowskiego i Miriam z kręgu „Chimery” warszawskiej.

To przecież przeciw ich programowi „sztuka dla sztuki” tak ostro w sposób demaskatorski wystąpił Stanisław Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski” i na pewno skamandrytom był bardziej bliski niż Młodej Polsce.

Poeci tego ugrupowania w swej obywatelskiej postawie raczej nawiązywali do tradycji Konstytucji 3 Maja, insurekcji kościuszkowskiej i przede wszystkim legionów, co wtargnęły do naszego hymnu narodowego.

Pod przewodem tej pieśni po latach wyrósł „Pan Tadeusz”, którego tytułowy bohater „pociągnął za sznurek, by stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”. To było u początków Polski porzobiorowej. Legiony ją otwierały i legiony pod przewodem Starego Dziadka otwierały na progu nowej Niepodległości.

Ta właśnie Polska legionowa bez późniejszej martyrologicznej rosnącej klęskami doszła wreszcie do głosu i już bez jej manifestowania przez poezję życia codziennego wyrażała radość i zachwyt z odzyskania wolności. Wbrew tym, co wniesli do niej spory i swary z własnego bruku i śmietnika.

Skamander samą swoją nazwą nawiązywał do tradycji klasycznych sięgających do czasów Homera i nie na próżno sięgał do mitologii antycznej, do dwóch bogów z poezją związanych Dionizosa i Apollina.

Jeśli chodzi o Dionizosa, to nie tego, który patronuje tragedii Eschyla, Sofoklesa i Eurypidesa, lecz tego, który objawia się w bujnej przyrodzie wiosny. Na jego cześć śpiewano dytyramby chóralne pod muzykę i taniec.

Taką poezją dionizyjską spod znaku Pikadora powitali „wiosnę w życiu”, co do nas przyszła w listopadzie. Zaczęła się od Tuwima CZYHANIA NA BOGA, bynajmniej nie Ojca, lecz w erupcji natchnienia DIONIZOSA z SOKRATESEM TAŃCZĄCYM na czele w ekstazie psychicznej i kreatywnej energii. Towarzyszy mu Wierzyński WIOSNĄ I WINEM gospody z WRÓBLAMI NA DACHU, oczywiście poetyckiej. Inaczej sprawa przedstawia się z Lechoniem. On jeszcze w pełni nie może żyć wiosną, bo pogrobną Polską mu ją przysłania, więc odwołuje się nie do Dionizosa, lecz do świętokrackiego Herostratesa. Za tą wiosną bez Konradowego płaszcza opowiada się również Słonimski w CZARNEJ WIOŚNIE rewolucyjno-buntowniczej, anarchistycznej.

Te różne wcielenia najpełniejszy wyraz znalazły w DIONIZJACH Iwaszkiewicza. Jego Dionizos to nie tylko bóg winnej latorośli i miłosnych uniesień, ale nade wszystko, „bóg zachwyty i trwogi, dzikości i najbardziej błęgiego wyzwolenia, obłąkany bóg, którego ukazanie się ludzi wprawia w szal”. Jego kluczowym znakiem jest czerwień, w różnych odmianach życia i śmierci. Ekspresjonistyczny w treści, w formie jednak za mało dopracowany. Niecierpliwość młodości stała na przeszkodzie i ją usprawiedliwiła.

Nigdy dotąd jeszcze Dionizos tak się manifestacyjnie nie objawił w naszej poezji. W tym leży nie jego oryginalność, lecz novum. Wniósł do naszej liryki wyzwoleniczy oddech zdobył czytelników takich, jacy się dotąd poezją nie interesowali, czego nie można powiedzieć o naszych futurystach i bardziej odkrywczych awangardzistach.

Ta wiosna listopadowa, zanim się ustabilizowała, wchłonęła wiosnę roku 1920 z jej sukcesem, klęską i ostatecznym zwycięstwem przypieczętowanym 18 marca 1921 r. pokojem w Rydze. Chwila niebywała i atmosfera w sejmie odpowiednia do uchwalenia gotowej już Konstytucji, co do historii nazajutrz przeszła jako Konstytucja 19 Marca, nawiązująca do umiarkowanie demokratycznej Konstytucji 3 Maja.

Skończyła się wiosna i po 19 marca zaczęło się ... przedwiośnie. Parlamentaryzm nasz zgubił się w koteriach nadmiaru stronnictw, które powstawały jak grzyby po deszczu. Prowadziły nieprzejednaną walkę z sobą, z której korzystało największe stronnictwo Chjeno-Piasta, z tą endecją, co doprowadziła z całą perfidią do zamordowania Pierwszego Prezydenta Polski Odrodzonej. Przy takim sejmie władza była skrępowana i o żadnej reformie z reformą rolną na czele nie mogło być mowy. Takie przedwiośnie bez wiosny doprowadziło do Żeromskiego PRZEDWIOŚNIA.

Nie było innego wyjścia, jak tylko 5 kroków w przód, zwrot, 5 kroków w tył do jeszcze roku 1926. Nic dziwnego, że po takich przedwiośniach przyszła wiosna przewrotu majowego. Kraj przyjął ten przewrót z ogólną akceptacją z wyjątkiem zatwardziałyh konserwatystów świeckich i rozpolitykowanyh religijnyh. Za Piłsudskim przecież jako dawnym pepesowcem opowiedzieli się komuniści, za co srodze odpokutowała KPP.

Komendant odniósł zwycięstwo. Jak się wkrótce okazało, ku rozczarowaniu społeczeństwa, pyrrusowe. Mógł jako dyktator rozwiązać sejm, wprowadzić reżim i dopiero potem ogłosić wybory. Nie uczynił tego, bo chciał być dyktatorem i zarazem sejmowym demokratą przeciwnym panoszącemu się sejmowładztwu. To był ten pasjans, którego nie potrafił rozwiązać.

W początkowej fazie, gdyby sejm rozwiązał, był w stanie, nawet bez własnego stronnictwa, odnieść zwycięstwo nad Chjeno-Piastem. W drugiej już to nie było możliwe. Zraził do siebie PPS i lewicę ludową, dołączył się Piast i powstał Centrolew. W sumie klasa robotnicza, lewica ludowa i z nią Witos.

Z zastanym sejmem nie mógł się dogadać, z nowowybranym sprawa się nie poprawiła, a raczej się pogorszyła. Z tego powodu sejm został rozwiązany. Nie było szans, żeby obóz pułkownikóh BBWR mógł w nowych wyborach zagórować nad Centrolewem. Marszałek rozwiązał sejm i pozbył się przeciwników przez proces brzeski, który w następstwie doprowadził do Berezy Kartuskiej.

W ten sposób Marszałek znalazł się na liście dyktatorów ówczesnyh, jak złośliwi mówią, w samym centrum, właśnie ci, co nie widzieli dyktatora w tym, w którym hartowała się stal.

W związku z tym nasuwa się pytanie, dlaczego nie stanął po stronie socjalistów. Socjaliści w ówczesnym naszym społeczeństwie klerykalnym nie byli popularni. W przekonaniu ówczesnej większości być socjalistą, to znaczyło być parszywą owcą. Stając po ich stronie, umocniłby i tak największe ugrupowanie w sejmie Chjeno-Piasta. Uważał, że przez BBWR stworzy stronnictwo buforowe. Tymczasem wagony po prawicy i po lewicy nie były do tego dopasowane, a przez Centrolew socjaliści ściągnęli do siebie chadecję, NPR, Wyzwolenie i nawet Piast z wielce popularnym wśród chłopóh Witosem.

Piłsudski miotał się jak wielka ryba schwytana w sieci i zniechęcał wielu swym językiem fekalnym, zwłaszcza posłów, któryh nazywał fajdanitis poslinis, sięgając niewybrednyh makaronizmóh sarmackiego baroku.

I z tym językiem pokalany przeszedł do historii, a przecież, jak pięknie zwracał się jednocześnie do braci legionowej w słowach jakże wymownych: „Biegliśmy po drogach i ścieżkach w poprzek wszystkich dróg Polaków, więc znieść musieliśmy tyle niespodziewanych, i niczym nie zasłużonych zniewag, a wypić musieliśmy tyle kielichów goryczy, ze doprawdy ubiegłe pokolenia pomimo klęsk tyłu, niewiele mają nam do powiedzenia.” I jeszcze z tego nieoczekiwany wniosek: „A zawsze myślę, że tak żyć, jak żyłem – warto było – warto było ten ból i zmęczenie przewycięzać – jak przewyciężałem.”

Wśród tych żywiołów politycznych i społecznych wzajem się zwalczających wiosna dionizyjska straciła na znaczeniu. Grupa Skamandra rozbiła się. Nieprzejednanymi zwolennikami Piłsudskiego nadal zostali Wierzyński i Lechoń, a Tuwim i Słonimski stopniowo coraz bardziej deklarowali się na jego przeciwników. Wreszcie Iwaszkiewicz zajął pozycję jarosławna, bez wyraźnego zdeklarowania się, dyplomatyczną.

Pożegnali się z Dionizosem i tylko przez zwrot do Apollina w patronie klasycyzmu znajdowali wspólny język. Ingenium, jako kreacyjne natchnienie i ars jako sztuka wyzwolona przez Apollina i jego lirę siedmiostruną, którą Norwid nazwał, a za nim Tuwim RZECZĄ CZARNOLESKĄ.

Od niej się zaczął wciąż inny, a jednak ten sam, wzbogacony przez lirę czarnoleską, nastrojoną przez horacjańską, arcymistrz skamandrytów, który odważył się zmierzyć z całą poetycką spuścizną polszczyzny.

Jego Sęp-Szarzyński wcześniej się zapowiedział jako Lechoń przez „Srebrne i czarne”, spowiedź poetycko-klasyczną z niedopowiedzeniem: ego te absolvo, a po nim Safo słowieńska kreowana przez „Pocałunki”, z podwójnym morzem, fal i uczuć, igrająca, jak Wenus i Safo – Pawlikowska. Na przyszłość z zapowiedzią od Czarnoleskiej do Jasnorzewskiej, z ostatniego małżeństwa.

Następnie po „Laur olimpijski” sięgnie Wierzyński. Było to agonistyczne ukoronowanie poezji ludycznej. Czasy nie sprzyjały dalszemu jej rozwojowi, bo radość ustąpiła trosce i szybko się wyczerpała.

Poeta jednak nie rezygnuje z urody życia i szuka jej w podróżach w czasie i przestrzeni. Plonem tych poszukiwań stał się „Gorzki urodzaj”, klasyczny w kompozycjach plastycznych, muzycznych i zwłaszcza metrycznych.

Podobnie jak Wierzyński, tylko w innym stylu, pogłębia swoją twórczość Iwaszkiewicz z „Powrotu do Europy” przez nawiązanie do klasycyzmu, któremu patronuje George. Dionizyjski, bizantyjsko-wschodni, usta-

pił apollinowemu zachodnio-europejskiemu klasycyzmowi, jak dzień w zbiorze „Lata” nocy.

Wreszcie Słonimski skłócony w sobie i zbuntowany, gubiący się w ojczyźnie dopiero przez „Drogę na Wschód” po powrocie „Z dalekiej podróży” odnalazł w obczyźnie Ojczyznę jako obywatel świata i patriota zarazem. Wielki Adam bez płaszcza Konradowskiego stał się dla niego pierwowzorem artystycznym. Tego dowodem „Okno bez krat” romantycznych i współczesnych.

Ten zbiór ukazał się w roku pamiętnym 1935, kiedy odszedł od nas na zawsze Komendant, Naczelnik i Marszałek Polski w jednej osobie. Z tych trzech po prawie pół wieku pozostał jedynie Marszałek od 12 maja 1926 roku do 12 maja 1935, w okrągło 9 latach niechlubnej pamięci Brześcia i Berezny Kartuskiej.

Po pogrzebie historycznym, wbrew Norwidowi, sprowadzamy go, wbrew Wawelowi, do pogrzebu parafialnego. A przecież bez niego nie można sobie wyobrazić legionów, które przodującą rolę odegrały w powstaniu naszej armii, jak też trudno sobie wyobrazić utrzymanie się lewicowego rządu lubelskiego przy prawicowo-klerykalnej dominującej opozycji, bez 11 listopada pod przewodem Komendanta, którego ukoronowano tytułem kościuszkowskim Naczelnika.

Piłsudskiemu po pokoju ryskim zawdzięczamy format Polski, który po cofnięciu się do linii Curzona na Bugu pozwolił nam wrócić do ziem piastowskich. Z ziem zaborczych stworzył jednolitą całość państwową i jak nas narodowo zjednoczył, tego niezbitym dowodem wrzesień z jego klęską, która po latach przyniosła zwycięstwo.

Z legionami Komendanta związały się najpiękniejsze pieśni legionowe, a z jego osobą niezliczone wiersze. Pamiętam ich dwie antologie. Z tej drugiej najpiękniejszy jest Lechonia z jednym jedynym wierszem ostatnim: A on mówić nie może. Mundur na nim szary. To „mówić nie może” jest wielotekstowe, w którym również kryje się odpowiedź na milczenie Wiarusa z Warszawianki. Tryumf milczenia wobec jego zgonu.

Prawie w rok od zgonu Samotnika z Belwederu ja się dopiero zacząłem z obciętymi skrzydłami w piórze. Nie z powołania, lecz z konieczności. Wbrew krytycznej sytuacji w kraju, wbrew czasom pogardy faszystowsko-hitlerowskim, wbrew wiarołomstwu domowemu, wbrew zapowiedziom, że niedługo chodzić przestanę i ze szkołą będę musiał się rozstać.

Tym wszystkim na przekór ratowała mnie poezja nie dionizyjskiej WIOSNY, której byłem zaprzeczeniem, lecz LATA koncepcyjnego, wydobyte-

go ze strun Apollina, wbrew rzeczywistości, zapowiadającemu gromy z jasnego nieba.

Była to ucieczka – u mnie ODJAZD – przede wszystkim od samego siebie. W depresji, w psychicznym i fizycznym załamaniu ucieczka w poszukiwaniu zdrowia. Pod słońcem wysokim. Bezrefleksyjna.

Z takim też, być może, przeświadczeniem pierwszą wersję maszynowego debiutu przyjął Julian Tuwim. Drugiego maja 1936 roku na jego adres domowy wysłałem wiązkę wierszy, a już czwartego otrzymałem odpowiedź, zaczynającą się od słów: Drogi poeto, gdzie chcesz, możesz drukować.

Takiego leku nie oczekiwałem. To był remedium jedyne w swoim rodzaju. Nie byle kto, nie bez przesady, wyróżnił. Arcypoeta słowem mnie uzdrowił. I odezwało się we mnie powołania poetycki, któremu do dziś wierny jestem.

Dzięki Tuwimowi w zeszytach 71-73 SKAMANDRA ukazały się moje cztery debiutowe wiersze. Polecony Wierzyńskiemu następnie zaczął mnie drukować na miejscu eksponowanym w „Gazecie Polskiej”, w numerach niedzielnych w sąsiedztwie takich nazwisk, jak Staff, Leśmian, Iłakowiczówna, Pawlikowska-Jasnorzewska, Tuwim, Wierzyński. Stały przede mną otworem prawie wszystkie pisma literackie. Między innymi „Pion”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Okolica Poetów”.

W rok potem dzięki Hannie Mortkowicz-Olczakowej zadebiutowałem zbiorem wierszy pt. KŁOS SŁOŃCA, który w nie lada towarzystwie M. Jasnorzewskiej i M. Jastruna ukazał się w Towarzystwie Wydawniczym.

Górowała w nim pogoda wszechwładnie panująca, jakiej, według Iwaszkiewicza z listu zaginionego, bez euforii jeszcze w „Skamandrze” nie było. Bez statyki Staffa i z całą świadomością bez jego refleksji poopisowej.

Zależności od skamandrytów i innych poetów na pewno w tym pierwszym moim zbiorze istnieją, ale są jedynie podniętą, a nie naśladowaniem. Bez przeżycia, bez inspiracji własnej, co mi się jeszcze zdarzało w ostatnich strofkach, rzadko kiedy za pióro chwytałem.

Obce mi były metafory awangardowe, grawitowałem natomiast w stronę metafor rozbudowanych, w słownictwie bliższym drzewu niż drewnu. Dążyłem do doskonałości i z niej, a nie w oryginalności samej, widziałem odkrywczość.

Krytyka przyjęła „Kłos słońca” na ogół przychylnie. Podobnie jak Tuwim znakomity krytyk i znawca poezji międzywojennej był przyjazny mojej Muzie. Na dowód przytaczam jego sąd z „Życia Literackiego”:

„Sukces poety, który wstępnym bojem podbił stolicę – w 1936 r. pierwsze nieśmiało drukowane w czasopiśmie wiersze, rok później wszystkie pisma literackie, otwarte, tomik w Mortkowiczowskiej serii jak dotąd drukującej tylko elitę liryki polskiej – jest zupełnie zasłużony” (Zawodziński).

Mój „Kłós słońca”, co ukazał się na jesieni, poprzedziły ogrodowe ferie. Obcowałem z drzewami całe dni i za to odwdzięczyły mi się: w ciągu jednego tygodnia cykl dwunastu PIEŚNI DRZEWNYCH.

Z tymi to pieśniami złożyłem Tuwimowi wizytę na nie wiem już którym piętrze kamienicy Lilpopa po przeciwnej stronie księgarni Mortkowicza. Mieszkanie obszerne, bardzo wysokie, wypełnione w regałach rarytasami książek osobliwych aż do unikalnych od posadzki do sufitu.

Powitanie tak serdeczne, jakbyśmy się znali od dawna i naraz nieoczekiwanie spotkali. Kiedy odważyłem się zaproponować, że pragnę mojemu arcy moje pieśni przeczytać, powstał i ja powstałem. Wówczas wziął mnie pod rękę i powiedział: „Ten pokój za wielki, kameralny mam dla wierszy.”

Wkrótce w nim się znaleźliśmy. Jego osobliwością był półregal z wierszami grafomanów, wśród których byli także znani i cenieni poeci. Słuchaczem był nader wrażliwym. Nie znosił domówień. Dłonią przecinał słowa: „Poecie wystarczy pół słowa”. Zrozumiałem, że to znaczy: będziemy drukować.

Przed pożegnaniem z uprzejmością nie bez przesady znów mnie wziął pod rękę, pewnie ze względu na moje kuszykanie, podprowadził do ściany wyjściowej i dłonią w prawo wskazał na portret ze słowami: „To moja z SIÓDMEJ JESIENI Stefania”, a następnie w lewo: „a to moja siostra”.

Dzięki Tuwimowi „Pieśni drzewne” otworzyły rocznik 1938 i pierwsze stronicę zeszytu styczniowego „Skamandra”. Pogoda słonecznego lata ustąpiła jesieni bezradnych drzew, co żyją życiem podwójnym własnym i aluzyjnym.

Tych dwanaście drzew to jakby dwunastu apostołów drzewnych, wśród których jest Chrystus i Judasz. Z kultu ciała wywodzą się grzechy i ich następstwa – męka i zdrada, nikomu niepotrzebna spadająca gwiazda i dumne osamotnienie w przewidywaniu klęski, pięcie się do nieba, a na ziemi droga bez ucieczki. Po nich u kresu sen o wiośnie, oczekiwanie na cios topora i za Tuwimem poszukiwanie drzewa nieznanego – daremne.

Cykl ten z podwójną ewokacją wzbogaciłem oryginalną strofą małego sonetu, składającego się z dwóch tercetów i z dwóch dystychów. W tej formie bezrefleksyjnej siebie refleksyjnego ukryłem. Było to moje największe

sze osiągnięcie poetyckie schyłku czasów międzywojennych, godne arku-sza poetyckiego.

Czas największy sięgnąć do szuflady. Większość z nich uległa zasłużo-nemu całopaleniu. Czas wrócić do ocalałych, do których powracałem upo-rzycie w moich pierwotnych syzyfowych trudach.

Należały do nich od roku 1925, ostatniego z moich studiów uniwersytec-kich, cykle wierszy: „Dwunastu przysięgłych”, „Gorzkie ziola” oraz mały poemat „Czarne płomienie”. Poza tym wiersze miłosne. Z nich ocalały jedy-nie „W oknie” i „Dwa księżycy”. Reszta z ognia powstała i w ogniu zginęła.

„Dwa księżycy” wyróżnił Wierzyński za świtezioowy romantyzm w ten sposób, że umieścił je na eksponowanym miejscu „Gazety Polskiej” w nume-rze świątecznym na Boże Narodzenie. Ostatnie przed drugą wojną światową.

Ten w prostocie skomplikowany erotyk kryje w sobie poczwórną egzy-stencję: w księżycu na niebie z księżycem na ziemi w wodzie odbi-tym i w postaci kreacyjnej na niebie z kreatorem zatopionym w głębi. Du-chowe światło łączy, a cielesna przestrzeń dzieli. Niestety, tylko w dwóch zwrotkach.

Trzecia ośmioletkowa trochejo-tromtadracka nie harmonizuje z dzie-więciozłogłoskowcem (4 + 5), jako metrum, podług Łosia, unikalne, z samo-grajem. Toteż od wielu lat w kolejnych do niej wracałem wydaniach, bez powodzenia w coraz to innych wersjach i dopiero dziś przy pisaniu wysko-czył z niej dialog:

Dwoje nas i dwa są księżycy,
Co bezgłośny dialog wiodą:
— Ja od słońca jasne mam lice
— Ja przez ciebie tonę pod wodą.

Tutaj sprawa dotyczyła jednej strofy, co czekała cierpliwie na ostatecz-ną karnację, a tymczasem w szufladzie leżały wiersze z różnymi dolegliwo-ściami, z którymi się borykali ludzie ułomni.

Ja nie zacząłem swej twórczości od tonacji jasnej jak słońce, lecz od ciemnej jak noc bezgwiezdna. Nie bez inspiracji Duhamela, autora wstrzą-sającej książki „Żywoty męczenników” w znakomitym przekładzie G. Karskiego. Pisał on o szpitalnych męczennikach pierwszej wojny świa-towej. Tymczasem ja powzięłem zamiysł wyzwolenia niedobitków ze szpi-tali, by jako inwalidzi sami przemówili głosem, niczym nie skłamanym.

Miało ich być dwunastu, a ocalało ledwie trzech. Trzeci z nich, nie bez akcentów autobiograficznych, uznał Tuwim za najlepszy z moich wierszy

międzywojennych. Rekapitulacją pięciu tych elegii jest tren o złamanych rękach z boskim i nieboskim wydzźwiękiem:

Wiary z miłością pogodzić nie mogę.

Piekło wybrałem. Nie wejdę do nieba.

Te „Cienie” przysięgłych weszły do „Elegii” bliskich żalom stąd „Gorzkie żale”, wcale nie religijne, lecz gorzkie, jak „Gorzkie ziola”. Nie tylko od choroby, lecz i od kalectwa. Mają one swoja ścianę płaczu i ślepa ścianę dla pochytych kroków, smak goryczy miłości żółcią zatrutej: — Kto mi odda te lata, które z tobą przeżyłam i lęk odludka, co sam siebie się boi. Spod nóg: Ziemia ucieka, noc przystanęła:

Wracać za późno, kończyć za wcześnie.

Od ziemi, co ucieka, sonda do zagłębia, do pokładów własnej kopalni po węgiel czarnoleski dla „Czarnych płomieni”. Po wytwórczy urobek wydobyty ze stojów zdrewniałych winda spływa w dół do podziemnych sztolni.

To wprowadzenie już nie do wiersza, lecz do małego poematu, w którym współgrają trzy elementy: drzewo, węgiel i ogień, żywioł niszczenia tego, co piękne – drzewostanu zwęglonego po to, żeby wydobyć czarne płomienie. Wbrew treści gorejącej, nie tylko Tuwimowej.

Wojna zaskoczyła mnie w rodzinnym Bieżuniu. Bezsilny jak cały naród wrześnie pokonany, w niebывałym zjednoczeniu. Cóż znaczyło nieszczęście osobiste wobec ogromu nieszczęść, jakie nasz kraj nawiedziły.

Odżyła na nowo zaborcza egzystencja z czasów porzoborowych i wróciła powrotna fala z siłą fatalną poezji romantycznej. Trzej wieszcz znowu stali się sobie bliscy, gdyż żyli klęskami z wiarą w zwycięstwo.

To z ich inspiracji po ucieczce wrześniowej powstały „Strofy wrześniowe”. Po nich padł Mickiewicz z pomnika, ale jego bohater Konrad nie zginął. Przywdział płaszcz zakonny i stał się przewodnikiem na drogach okupacyjnej eksterminacji przesiedleńczej, pacyfikacyjnej i obozów zagłady.

Z tych dróg rozstajnych wracamy do ruin teatru Wielkiego. W noc Działów z księżycowym Guślarzem Konrad, Kordian, Irydion grają dramat buntu i bezsilności – prawdziwi i upiorni jednocześnie.

Te trzy akty mają swój prolog i epilog – powojenny, i cały poemat nosi obecnie tytuł KLĘSKA ZWYCIĘSKA. Ten ku uczczeniu 45 Rocznicy Września ma się ukazać w wydaniu bibliofilskim nakładem drukarni w Ciechanowie.

Zajęty tajnym nauczaniem, pochłonięty pracą dokształcania siebie i uczniów, prawie że ze wszystkich przedmiotów, poezją zajmowałem się doraźnie podczas ferii świątecznych, jak też i letnich.

Wstrząśnięty śmiercią młodszego brata, powieszono go przez hitlerowców, sięgnąłem do jądra ciemności okupacyjnej od 1942 do 1945 roku i w ten sposób powstała pierwsza redakcja ZNAKÓW OGNIA. Do nich potem dołączyłem wiersze drukowane w czasopiśmie powojennych z lat 1945 do 48.

Zamiast własnej podaję o nich wersję miarodajną Anny Kamińskiej: „Znaki ognia” wiersze z lat 1942-48 to jeden z najlepszych tomów Gołębiewskiego ... prostszy, mniej artystowski, a doznania głębsze i autentyczne, nie wynikające z literackich konwencji – tego najlepszym dowodem „Stracenie” – Trudno o większą lapidarność i surowość rozmyślań zamkniętych jednocześnie w wierszu posiadającym całą kilkuaktową akcję dramatyczną. W tych tragicznych i wstrząsających wierszach przestaje być ważna ich poetyka. Strofa, rym, to wszystko, co w pierwszym tomie było popisem poetyckim, tu jest tylko rusztowaniem sceny, na której dzieje się dramat” z aluzją do Andromachy — dodaję od siebie.

Przez maski skazańców gipsowe cofamy się do tragicznych masek pod murem tebańskim (Maski), z antyku wpadamy w średniowiecza lej dantejski (Ptaki ognia), renesans echem się odzywa boskiej i zarazem ludzkiej Madonny, romantyzm przestaje być osobistym dramatem Karusi (Romantyczność). Śmierć jednostkowa ustępuje zbiorowej, eksterminacyjnej i nie wyobraźnia góruje, lecz prawda. O tej prawdzie mówią dwa ostatnie testamenty.

Stary testament mściwego Jehowy nakazuje pamiętać o zbrodniach poświadczonych na ofiarach wojny, a Nowy Testament spod znaku Chrystusa zaleca egzorcyzmy wobec złych mocy, które opętały pamięć niehumanitarną.

„Znaki ognia” w raz z wierszami z przedwojennej szuflady wyzwolonymi ukazywały się w różnych konfiguracjach w rozmaitych z dziedzic literackich czasopiśmie pod pseudonimem Jana Smutka.

Pod tym pseudonimem w tonacji ciemnej zadebiutowałem po raz drugi po „Skamandrze” w „Twórczości” K. Wyki, który uważał, że mnie odkrył. Po nim chętnie drukowali mnie M. Jastrun w „Kuźnicy” i w „Nowej Kulturze” A. Sandauer. Wierszy jednak było za mało, żeby zbiorem mógł Jan Smutek zadebiutować. Ujawnił się po to, żeby zniknąć. Żył i żyje tylko we mnie.

Muza rzadko mnie nawiedzała, bo rozpanoszył się we mnie Dyrektor Gimnazjum, a następnie Liceum. Zresztą programowa poezja realizmu socjalistycznego nie zachęcała do pisania wierszy.

W tych przełomowych czasach zapowiadających nieprzychylnie lata poezji wrócił do kraju J. Tuwim. Złożyłem wizytę na którymś tam piętrze ul. Wiejskiej. Chwycił mnie w ramiona z takim zaskoczeniem, jakbym był Łazarzem wracającym z tamtego świata. Tak Radość powitała Smutka. Okna jednak nie pozwoliły o niczym innym mówić, jak tylko o ruinach, nie tylko Warszawy.

W kilka miesięcy potem odwiedziłem go w tym samym mieszkaniu. Powitał mnie w przededniu oddania do druku maszynopisu „Kwiatów polskich” – kwiatów polskiej mowy. Zważyłem w dłoniach ciężki foliast pod sercem schylony i zwróciłem go autorowi z wyrazami podziwu.

Potem siedliśmy przy okrągłym stoliku i zaczęła się rozmowa o poezji bez warsztatowej, zaśmiecającej nasze tygodniki wierszami pisanymi na zamówienie, i o poetach coraz bardziej liczących się. O Przybosiu i Jastrunie.

Dwóch Julianów: jeden czołowy poeta lat międzywojennych, drugi awangardowy – powojennych. Nieprzejednani antagoniści, chociaż Tuwim ceniał Przybosia za to, że rżęsami tak uskrzydlił oczy, że stały się jego szóstym zmysłem. A kiedy temu drugiemu Julianowi mówiłem, dodając od siebie, że razem tworzą dwa okresy julijskie naszej poezji – uśmiechnął się.

Po nim rozmawialiśmy w kłębach dymu od papierosów Tuwima, autora „Rzeczy czarnoleskiej” o „Rzeczy ludzkiej” M. Jastruna, który podówczas cieszył się u czytelników, jako poeta i eseista, większym uznaniem niż Przyboś.

Tuwim te wyrazy uznania przyjął z pewną rezerwą: „Odkrywczości nie odmawiam, ale jej mankament w tym, że nie stuka.” Po czym z mgły dymu wyłoniła się dłoń, co z góry w stół stuknęła.

Ile w tym było prawdy, a ile osobistej niechęci, tego nie mogłem dociec, bo istniał między nimi Miłoszowy problem: Bal u Senatora trwa. Dopiero po śmierci Tuwima niechęć Jastruna zmieniła się w przyjaźń, o czym świadczą słowa kartki skierowanej do mnie: „Rok to był ciężki dla Pana zwłaszcza, który poniósł tak bolesną stratę i dla nas wszystkich, którzy kochamy mowę polską.” Zgodnie z tym wszedł do redakcji „Dziel” Tuwima i napisał wstęp.

Z Jastrunem bliżej zetknąłem się przez „Kuźnicę”, w której drukował moje wiersze, a zapoznałem się i zaprzyjaźniłem z jego domem dopiero wtedy, kiedy przeniósł się z Łodzi do Warszawy na ul. Iwicką, co na dłuższy czas stała się dla mnie peryferyjną Szczęśliwicką.

Wizytę złożyłem w dniu przyścia na świat syna w mieszkaniu prawie że nieumeblowanym. Przywitał mnie podobnie jak Tuwim. Jakbyśmy się już znali. Przecież łączyła nas poezja w różnej skali potęgowania. Poza tym

to samo pokolenie, ta sama polonistyka, jego krakowska, moja warszawska, i do tego szkoła, jego głównie łódzka, a moja przasnyska z czasów międzywojennych.

Pierwsza wizyta pociągnęła za sobą następne i mieszkanie tak zaczęło się książkami zaludniać, że aż wtargnęły do przedpokoju. Ścian prawie że nie było widać. Pod tym względem współzawodniczyliśmy ze sobą, chociaż mojego księgozbioru mimo moich usilnych zaproszeń nigdy nie zobaczył.

Za to moim wierszom nie odmówił czasu. Był tak uprzejmy, że dokonał z nich wyboru ponad 60 wierszy z zachętą, żebym zbiór ich wysłał do „Książki i Wiedzy”. Kiedy o tym powiedziałem Tuwimowi, przyrzekł mnie poprzeć w „Czytelniku”. W związku z tym, zbiorem zajęli się S. Pollak i J. Lisowski. Przez nich przygotowany tomik do druku ukazał się w roku 1953 pt. „Trud”, do którego w jego trzeciej partii końcowej jakże pasuje Asnykowe: daremne żale, próżny trud. Ocalały z niego tylko ZNAKI TRUDU.

Mimo to dzięki temu „Trudowi” pod przewodem Jastruna zostałem przyjęty do Związku Literatów Polskich i mimo to w CZYTELNIKU znalazłem Mecenasa moich następnych 10 zbiorów. Ostatni z nich znajduje się w druku.

W rok po wydaniu „Trudu” zostałem wybrany na radnego wojewódzkiego, a następnie na posła dwóch kadencji sejmowych. W związku z tym moje kontakty z Warszawą stały się jeszcze częstsze. I mieszkanie Jastrunów warszawskie po moim rodzinnym, jakże mi bliskie, najbliższe.

Mieczysław i Mieczysława przez miłość i poezję z sobą wzajem związani, tworzyli ujmującą parę, do której przede wszystkim synek należał. Poskoczny w kołyskach drewnianego Pegaza. Oddychał poezją i już jako dziecko zaskoczył rodziców pierwszą metaforą. Kiedy ojciec trzymał w rękę szafirowy krawat z wyszytymi gwiazdkami, powiedział: noc w krawacie. Być może przez skojarzenie do: „Tyś niebo ... złotymi gwiazdami ślicznie uhaftował.”

Przecież ojciec jego związał pierwsze dzieciństwo z Kochanowskim i w ten sposób dwa Czarnolasy do siebie zbliżył. Widać nie darmo Kochanowski przez swój słoworód małżeńskim węzłem wiąże rodzinę, ojczyznę i poezję.

W tym potrójnym kochaniu nie był jednak ekstremalny. Cenił zdrowie, sumienie czyste, ludzką życzliwość, znośne obyczaje i nade wszystko umiar. Pisał „serce roście patrząc na te czasy”. Nie tylko na te czasy lecz i na Czarnolas w szczęściu i nieszczęściu, jak je przezwyciężyć, oczy zwracamy.

Przemawia do nas swoją postawą obywatelską i zachwyca kunsztem słowa. Zachwyca wierszem i frazą horacjańską przelewającą się ze strofy do strofy podwójnie w kadencjach metrycznych i syntaktycznych. Urzeka ze strojami słownymi, co podzwaniają ludową pieśnią rodzimą, śpiewną z akordem klasycznym szlachetnym w brzmieniu słowa.

Kochanowski to była nasza harmonia przedustanowiona. Złączył nas z sobą frazą i za nią mi Jastrun w ostatnich *petitem* pisanych słowach dziękował. A przecież to on ze mnie wydobył tego, który krył się we mnie. On i atmosfera, jaka w tym domu panowała. Mimo wszystkich różnic – czarnoleska.

Może kto zapyta, dlaczego Czarnolas tak lipowo się rozgościł. Może dlatego, że nowa rzeczywistość, pomimo niezaprzeczonych jej walorów humanistycznie socjalistycznych, osobiście i narodowo nie była zachęcająca.

Narzucone przez mniejszość przeważającej większości naśladowanie ustroju socjalistycznego ze stalinowskim kultem jednostki nie odpowiadało naszej rzeczywistości państwowej, cóż mówić literackiej z góry zaprogramowanej, bez liczenia się ze swobodą twórczą.

Nic dziwnego, że Jastrun swej na poły poetyckiej monografii nadał tytuł POETA I DWORZANIN. Nie chciał być sekretarzem Zygmunta Augusta. Dostyć miał wielkopańskich dworów i wielmożów. Nie chciał też być opatem, chociaż był kandydatem desygnowanym. Wrócił do Czarnolasu i założył rodzinę.

Usamodzielił się jako ojciec poezji naszej i to stało się wiążące dla wieków potomnych. Jastrun też zmierzał w tym kierunku, chociaż jako partyjny jeszcze się z konieczności udzielał i szyldowo opowiadał.

Nie można tego powiedzieć o mnie. Związany obowiązkami szkolnymi jako dyrektor i obywatelskimi jako radny wojewódzki wyłamane się z socrealizmu raczej połowicznie. O tym świadczy mój trzeci tomik wierszy pt. „Gwiazdy kwitną”, które ratują „Pióro małej ręki”, „Kwiaty polskie” i zwłaszcza cykl SZKICE WIERSZEM.

Odezwała się we mnie PROWINCJA NOC, zaprzeczenie Czechowiczowskiej, arkadyjskiej:

Noc neonowa	samotna cicha
Syrena wabi	oknem zamglonym
a tam bez męża	czeka na powrót
provincia wdowa	choć odpycha –

provincia jednocześnie antyurbanistyczna, od kwiatów polnych polska.

Tymczasem w Polsce u steru zaszła przewrotowa zmiana. Zdawało się decydująca. Po przełomowym w dziejach Październiku przyszedł do nas październik polski. Usamodzielił i na nowo związał Partię, przywrócił nadużyte przez agresywność prawo do ziemi, zagwarantowane Manifestem, osłabił ucisk religijny i obywatelski z uciążliwego ubezpieczenia, armię bardziej związał z narodem, ziemie odzyskane umocnił w rozwoju. Umocnił granice.

Był to jedyny program naprawy do sierpnia 1980 roku – GOMUŁKOWSKI. W porównaniu do niego program Bieruta powstawał in statu nascendi, to znaczy w stanie powstawania. Program odbudowy i rozbudowy, w którym Polska z przewagą wsi stała się umiastowiona i uprzemysłowiona z Nową Hutą na czele.

Ten program Gomułki zjednoczył naród zdrowia toastem: Sto lat... Nie unowocześnił w porównaniu z zachodem przemysłu i po skasowaniu Spółdzielni Produkcyjnych wieś zostawił samej sobie, niedoinwestowaną. Do tego nadal utrzymywało się rządy w imię klasy robotniczej i Związków Zawodowych z nader ograniczoną odpowiedzialnością. Robotnik, chłop, inteligent istnieli głównie związani z pracą, jakby poza pracą innego życia nie było.

Bezrobotni zasadniczo nie istnieli. Cóż z tego, kiedy najniżej uposażeni raczej wegetowali lub wiodli żywot bezdomny w oczekiwaniu na mieszkanie. Oświata, zdrowie i kultura niby na głównym torze z przeznaczeniem na tor boczny i z przesuwaniem z jednej pięciolatki na drugą.

Zwłaszcza w kulturze niedobory ujawniły się najjaskrawiej, albowiem w niej nadbudowa, bardzo ograniczona budżetowo, bezpośrednio nie wyrastała z bazy. O tym się przekonałem w Komisji Kultury i Sztuki jako poseł na sejm, w towarzystwie wzajem się zwalczających Kruczkowskiego i Iwaskiewicza. Podam jaskrawy dowód odgórnej propozycji.

Na jednym, nie pamiętam którym, z posiedzeń Komisji padł projekt zlikwidowania Ministerstwa Kultury i Sztuki na rzecz Komitetu do spraw Kultury i Sztuki. Na szczęście nie bez oponentów, do których i ja należałem.

W związku z tym zapytałem wiceministra, ile po takiej operacji potrzeba czasu, żeby podobna reforma zaczęła prawidłowo funkcjonować. Rok? I dwa nie wystarczą — padło w odpowiedzi. A co zyskamy, na to już ja sam odpowiem.

Zginie odpowiedzialność za to, co było, w zbiorowej nieodpowiedzialności, i za to, co przez te dwa lata wprowadzania nowej reformy nastąpiło. Czyż tylko początki się liczą, a dalsze ciągi nie mają znaczenia? Wniosek upadł.

Tak się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie wyszedł podstawowy wybór moich dotychczasowych wierszy pt. ZIARNO ŻYCIA, którego nikt tak nie przyjął, jak Iwaszkiewicz w „Życiu Warszawy” przez esej PROWINCJA.

Z prowincjonalnej rzeczywistości, w której tkwiłem, wydobyl rzecz samą w sobie: „Gdybyśmy mieli inną prowincję, nie mielibyśmy ani tyle sił, ani tyle mocnych ludzi, ani osiągnięć” i do tego uklon w moją stronę: „Ty przecież lepiej widzisz, co trzeba robić tam, w twym zapadłym Bieżuniu, niż my w stolicy”. Uklon niewątpliwie Jarosławny.

Zresztą porównanie niewspółmierne. W Warszawie literatów 600, a może nawet 700, a w całym dawnym województwie warszawskim można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Ilość jednak nie decyduje, bo gdybyśmy z nich wybrali chociażby stu, należałoby, poza osobistym zidywidualizowaniem twórczym, wyodrębnić poetów i pisarzy bezspornie akceptujących naszą rzeczywistość lub niezadowolonych z niej i szukających pierwowzorów wśród znakomitych piór niechętnych lub nawet wrogich naszemu ustrojowi.

Między nimi in medias res znajdują się ci, którzy grawitują, jak w ściennym zegarze wahadło, pomiędzy tak i nie. Ogólna, powszechna akceptacja programu Gomułki powinna była sprzyjać narastaniu na tak, a tymczasem za jego Sekretarzowania związane z rozłamem zaczęło narastać nie.

Odrzucili legitymacje partyjne Andrzejewski, Jastrun, Ważyk et consortes aż do Newerlego, odrzucili nawet zagorzali młodzi komuniści, nazwani później pryszczatymi, z Woroszylskim na czele.

O tym zdecydowały: otwarta kurtyna na Zachód, co mitem śródziemnomorskim, jak błyskawicą, rozdarła żrenice i sam wcale nie sielankowy Wiesław przyczynił się do tego. Pochłonięty sprawami bytowymi nie doceniał spraw bezpośrednio i pośrednio związanych z nadbudową. Przez utożsamianie ich z bazą uczynił z kultury i sztuki namiastkę.

Pod tym względem Gomułka ustępował Bierutowi, który jako zecer wyszedł ze szkoły Hempla, i Cyrankiewiczowi. Jeśli sam się jako samouk więzienny w tych sprawach słabo orientował, powinien był je powierzyć temu ostatniemu. Cóż z tego, kiedy jego consors Kliszko nie był dobrym doradcą przybocznym, bo należał podług określenia Andrzejewskiego do zakamuflowanych nieprzejednanych zadufków. Jako wicemarszałek zawsze z niechęcią patrzył w stronę bezpartyjnych i na posłów ze stowarzyszenia Znak.

Ja jeszcze jako poseł drugiej kadencji Gomułkowskiej w tych sprawach, jak obecnie z perspektywy czasu, tak się w panującej sytuacji nie oriento-

wałem. Czyniłem porachunki z moją ostatnią poezją. Wróciłem jeszcze do „Rzeczy mazowieckiej” zamykającej „Ziarno życia”. Wróciłem jako do „Septetu mazowieckiego” w stylu Lenartowicza, ostatniego poematu przed rozbiorem Mazowsza na województwa.

Za bardzo dotąd tkwiłem w poezji krajowej i we francuskiej od Baudelaire'a do Rimbauda. Obecnie zwróciłem się przede wszystkim do Apollinaire'a, autora struktur nieciągłych, bez powiązań logicznych w luźnych zdaniach i obrazach, oscylujących między porządkiem a przygodą. Na przekór symbolistom takim, jak Mallarmé, Valery czy w mniejszym stopniu Rilke, dla których przestrzenna i historyczna rzeczywistość była odskocznią do metafizycznych przeżyć służących poetyckiemu poznaniu zasadniczo różnemu od poznania naukowego, które nie dociera do rzeczy samej w sobie.

Pod tym względem zacząłem stopniowo się różnić z Jastrunem. Nie rezygnowałem z reizmu, a rzeczy samej w sobie szukałem w człowieku i w jego egzystencji ludzkiej, jak też w powiązaniu jej ze społeczną sprawiedliwością. Metafizyka idealistyczna zbudowana na negacji nie odpowiadała mi i jeśli ją podziwiałem, to głównie w kategoriach Leśmiana, który z sensualnego bytu wydobył niebyt istnienia pozazmysłowego.

Poezja Jastruna już mnie tak nie fascynowała jak przedtem, pomimo zastrzeżeń Tuwima. Jego nowe tomiki wierszy były być może odkrywcze w swej treści metafizycznej, ale ja w tej dziedzinie nie miałem szóstego zmysłu. Za dużo w niej było ratowania i usprawiedliwiania własnej egzystencji. Odwracania się od siebie dawnego i nie odnalezienie siebie nowego.

Tych wypowiedzi między nami nie było i być nie mogło. Górował nade mną swoją rangą poetycką ogólnoeuropejską i niepospolitym opanowaniem warsztatu poetyckiego w wielu przekładach, zwłaszcza Rilkego i Hölderlina.

Te ostatnie lektury i lektury z biblioteki sejmowej wzbogaciły moje doświadczenie poetyckie i literackie. Bliżej poznałem Gombrowicza z „Dziennikami” na czele i Miłosza, znanego mi już z „Trzech zim” i z „Ocalenia”, pogłębiłem znajomość Lechonia i kiedyś jakże mi bliskiego Wierzyńskiego.

Pod wieloma względami z nimi się nie zgadzałem, ale dzięki nim od czasu do czasu zdejmowałem z moich oczu końskie okulary i moje „tak” przez „nie” wzbogacałem, a nie zubożałem.

W związku z tym sprawy społeczne wiążące mnie z panującym u nas ustrojem zacząłem wiązać z niezależną samoswoją egzystencją własną, dotąd

nieusamodzielnioną, na zasadzie naczyń połączonych. Dzięki temu moja trzecia osoba w porównaniu do osoby pierwszej i drugiej wciąż we mnie górujących, wyodrębniła się.

Te szersze myślowe i wyobrażeniowe horyzonty związały się z moimi bardziej nowatorskimi osiągnięciami formalnymi. Dzięki temu wkroczyłem w drugie dziesięciolecie (1963-73), bardziej owocne w porównaniu z pierwszym. Od „Zamysłów”, co mój warsztat poetycki wzbogaciły i unowocześniły, do przekładu „Pieśni” Horacego, które by bez mojego warsztatu klasycznego nie powstały.

ZAMYŚLY to nie romantyczne „mierz siły na zamiary”, lecz raczej bliższe rozmysłom i zadumie mego wieku zaawansowanego. Paradoksalnie można byłoby powiedzieć, że o ile w życiu zmierzałem do starości, to w poezji przeżywałem moją drugą młodość, bo właściwie pierwsza przemięła z wiatrem.

Nadal pozostawałem wierny konkretności słowa nośnego z grawitacją ku najmniej słów dla wyrażenia przeżyć, wbrew awangardowym najmniej słów, a najwięcej domysłów metaforycznych.

Raczej dążyłem do kondensacji słowa, nie bez nastawienia na wiersz wolny. Wśród panującego wielosłownia w języku przegadanym i rozpisanym hołdowałem słowu oszczędnemu szczególnie w dwóch cyklach: „Białe oczy” i „Pogotowie”. To były moje wiersze jądrowe. Dłuższe miały swoje elektrony krążące w różnych orbitach wokół tych jąder zarodkowych.

O całym zbiorze nie mam zamiaru pisać. Należy to do kompetencji krytyka i czytelnika. A znalazłem jednego i drugiego w jednej osobie wybitnie osobliwego, jakiego mi nawet Jarosław pozazdrościł.

Marii Dąbrowskiej wysłałem „Zamysły” i w zamian otrzymałem od niej list dwustronicowy drobno pisany, z którego przytaczam część początkową: — Dziękuję bardzo za zbiór wierszy „Zamysły”, który dwa razy już przeczytałam – poezja to przejmująca w swojej lapidarności, oryginalna, a trafna, w bogatej mimo tak wielkiej oszczędności środków w metaforyce pełna wyrazu, smutno radosna, trochę wieczorna i nocna, pożegnalna i powitalna (w obrazach młodzieży szkolnej).

Dziwna to rzecz jak w naszej epoce ludzie starsi potrafią dzielnie, mężnie i wzruszająco komunikatywnie pisać o starości.

W rok później od „Zamysłów” zbiorek wierszy pt. „Alter ego” jest jego w nowej wersji dalszym ciągiem i uzupełnieniem. W skład tomiku wchodzi 4 cykle i poemat nadrealistyczny o pokojowym domu jako mieszkaniu.

Cykle mówią o właścicielu tego domu, a dom kreacyjny jakby mówi o samym sobie. Zamiast juweniliów, z których nic nie ocalało, „Senilia”. Stąd forma nie wiersza wolnego, lecz sylabicznego i stroficznego w powiązaniu z poetyką bliższą awangardy. Coś w rodzaju aurea mediocritas.

Z tym cyklem potrójnych tercetów bezpośrednio korespondują „Okta-wia” – ich spóźniona miłość oraz spóźnione podwójne pocałunki, Wenus bez rąk i Nike bez głowy, ja z laską i moja wcale nie grecka Helena. Trójkąt z trzecią nogą małżeński in spe, wstydlivy, żeby nie powiedzieć śmieszny.

Pokrewny im trzeci cykl „Małe sonety”, ewokacja do „Pieśni drzewnych”, związane z realiami domu rodzinnego. Za zamkniętymi drzwiami dnia otwarte drzwi nocy, gdzie dogorywają przeżytki i obumierają wspomnienia.

Po tych trzech zgoła niepodobny czwarty: „Farbowane maski”, w których żart, drwina, ironia i autoironia rywalizują ze sobą o pierwszeństwo. „We-sele” w krzywym zwierciadle. W pięć dni po nim przychodzi na świat syn Chochoła, nie bronowicki, lecz biezuński, niewydarzony i zamaskowany.

W tych czterech cyklach kryje się moje aluzyjne „ego”, które w poemacie ma swoje „Alter ego”. Dom, co ma własne drzwi wyjściowe bez wejściowych – to tradycja, okna, co się w natłoku obrazów zamknąć nie mogą, ściany co się rozsuwają w stronę ulicy, w której łatwo się zgubić w tłumie i człowiek, żeby w niej nie zginąć, śpiesznie wraca do domu, gdzie posadza skrzypi cieniami.

Zwornikiem kula wisząca nad głową. Jej eksplozja podnosi sufit, skle-pione niebo, by odsłonić niebo ponadobłoczne, gdzie grzybieje obłok, zwiastun apokaliptycznej zagłady. Hiroshimy cień bez człowieka. Ostrzeżenie.

W rok po PIW-owskim „Alter ego” w LSW ukazał się „Owoc światła”, jedyny mój zbiór wyłącznie przypisany wsi starej i wkraczającej w nową, mimo to nadal samoswoją i jednolitą w swojej samowiedzy.

Sporo w tym zbiorze wierszy nowych, u mnie dotąd nie spotykanych, i nie mało słabych pisanych z końskimi okularami. O pierwszych nieoczeki-wanie pięknie napisał syn chłopa, niepospolity nowator naszej poezji awan-gardowej, Julian Przyboś, w recenzji autorskiej wysłanej do redakcji Wy-dawnictwa: — Te lekkie, jakby ulotne, kreślone od ręki – wiersze mógł napisać tylko Gołębiowski-Smutek. Dokonał sztuki nielada: połączył hu-mor z czułością, groteskowość z liryzmem. Są to migawki, drobne nuty niby Lenartowiczowskie, mazowieckie, wydaje się – jakby pierw-sze rzuty, czy pomysły do rozwinięcia w obszerniejsze liryki.—

Wymowny dowód, że i w tych wierszach zachodzą znaczne różnice między poezją dawną i wierszami nowoowocującymi. Najlepiej o tym świadczą dwa cykle pokrewne: „Pieśni drzewne” i „Zadrzewienie”, przedwojenne i powojenne.

Dąb stracił dawną dumną indywidualność. Pozgonny wszedł do domu i pnie się, w górę po konarach jemiołą. Za nim sosna wysokopienna z koroną w niebie weszła do chaty sosrębem, kołyską, łóżem służebnym, stołokrzyżem, a mimo to szuka w ogniu wyzwolenia od słomianego gotyku strzechy.

Stara grusza, co ścięcia czeka w sadzie, koresponduje z Maćkową gruszą. Polną drogą przyszedł do niej świętek i w koronie zamieszkał. Ma suchą rękę i nie może błogosławić polom. Lud przed nim, a nie przed owocującą gruszą kłęka. Stąd jej owoc niepokaźny, mały i cierpki w smaku.

Do tych drzew dochodzą literackie: czarnoleska lipa, mazowiecka wierzba i z ludowej jabłoneczki jabłko wiary, wiedzy i sztuki ze stuknięciem Tuwimowym. W nim się kryje metaforyczne jabłko mądrości życiowej.

Biorę to jabłko pod światło. Kusząco się uśmiecha, rumieni, smakiem uwodzi nawet tych drzew, co owoców jadalnych nie rodzą. Tak jak Chlebnikow od chleba słowiarz z „Poganiacza”, do którego inicjalną podniętę wzięta od Śpiewaka: „Chodzi ziemia garbata kulejąc”.

Mam swój dom dziedziczny, prowincjonalny. W nim samotnie żyję, jego ogrodem oddycham, pąki rozwijam, owocuję razem z sadem prawie już od 40 lat. A jednak w nim się nie zamknąłem i nie oddzieliłem się od innych domów przepaścią słowa. Nie mieszkałem w innych, ale zżyłem się z osobliwymi.

Jeszcze w czasach międzywojennych przez rzecz czarnoleską i własny klucz poezji trafiłem do wielkiego domu Tuwima i zacząłem się od „Kłosu słońca” i od „Pieśni drzewnych” (w „Skamandrze”).

Po tym obiecującym początku nie było dalszego ciągu prawie że przez dziesięć lat. Ten dalszy ciąg zaczął się dla mnie dopiero od Jastrunowego domu, o którym już szerzej pisałem. To była moja struna Jastruna do czasu, aż autor „Rzeczy ludzkiej” skazał siebie na splendid izolation. Sam się od przyjaciół odsunął, a potem się dziwił, że się od niego odsunęli.

Tak było również i ze mną. Po jednym małżeństwie poetyckim zbliżyłem się do drugiego. Jak się wkrótce okazało, znacznie mi bliższego. Jako Jan Smutek zadzwoniłem do drzwi Jana Śpiewaka i oto podaję jego relację.

— Gdy otworzyły się drzwi, zobaczyłem skuloną postać opierającą się o laskę. Na krześle siedział wyprostowany, jego oczy mimo sześćdziesiątki

były młodzieńcze. Był pełen zapału. Ten wieczny entuzjasta mawia: Don Kichotem nie może być człowiek młody, tylko dojrzały, który dużo przeszedł w życiu. Po pierwszej wizycie stał się dla nas, dla mnie i mojej żony, kimś bliskim. Porywa opowiadaniem o ludziach w swoim rodzinnym miasteczku Bieżuniu, w którym urodził się i któremu pozostał wierny. Wyjątkowo rzadko poświęcam komuś moje wiersze, o nim napisałem poemat „Pieśń o nauczycielu”. —

Tak mnie Janek widział. W jego oczach należałem do ludzi rzadko spotykanych. Nie jako poeta, lecz jako osobliwa osobowość. Słuchał mnie dogłębnie. Jakby przeżywał to, czym żyłem i zmagalem się w sobie niepokromiony. Nie wiem, skąd się to we mnie brało. Tak działała na mnie jego indywidualność. I tym bardziej, że krzątająca się żona dolewała oliwy do ognia.

Stoliczku, nakryj się. Z trzech stron siadamy, bo czwarta należy do ściany. Ta ze ścianą przeciwną i częściowo pozostałymi jest wypełniona książkami. Nad nimi na półce w górze świątki większe i mniejsze, prymitywy ludowej sztuki w całym swoim ubogim bogactwie. Podziwiam, zachwyecam się. — Bez wiary nie byłoby ich — wtrąca Anna. — A bez Anny nie byłoby Madonny — dorzucam od siebie. — I Piety — konkluduje Jan od Chrzciciela.

Prawdziwy to dialog czy kreacyjny – nie ręczę. Konieczny był do didaskalii przyjęciowych. Po nich zaczyna się już nie mój monolog, lecz Janka. Po zaspokojeniu pierwszego głodu zerwał się z miejsca i zaczął żyć innymi głodami, które się w nim odezwały. Prawdziwymi i obsesyjnymi.

Czuprynę podniósł do góry i zaczął krążyć. Cztery ściany rozsuwać. Ruch wywołał wokół siebie i w samym sobie sięgnął do kopalni pierwszej pamięci, do prapoczątków różnych stworów nie rzeźbionych, lecz kreowanych ludziątek, drzewozwierzy, ptaków odmieńców, jakże bliskich światu pierworodków.

To jest dziedzina powołana do życia w deformacjach. Dochodzi do niej potęga druga. Do twórczej dynamiczna. Drzewom wrośniętym korzeniami w ziemię nakazuje skakać, uciekać, biec za sobą, korzeniami w niebie rosnąć. Ścieżki samotne szukają siebie, gubią się w błędnych i w skrzyżowaniu odnajdują się. Kamień otwiera swoje zamknięte labirynty. Piasek ma własne żrenice.

To nie tylko skamandrycka dynamika czasowników w powiązaniu z równoważnikami zdań. To dynamika obrotu ciała w różnych karnacjach od ma-

krokosmosu kopernikańskiego do mikrokosmosu jądrowego.

Mówił o tych sprawach językiem zająkłym. Jakby materię rzeczy z siebie wyszarpywał. Ja wyzwaliałem. Pojmował to, co mówiłem dogłębnie, a ja upraszczałem po swojemu. Nie docierałem do rzeczy samej w sobie.

Poszukujący w słowie doskonałości, chociaż zdawałem sobie sprawę z jej braków, zbytnią oryginalnością bynajmniej nie grzeszyłem i nie grzeszę wbrew panującym konwencjom pozornie rewelatorskim.

— Nie warto się martwić — słyszę w sukursowej replice — poszukiwanie słownej oryginalności, jeśli nie w poronieniach, to już się w noworodkach degeneruje i do rzeczywistych osiągnięć nie prowadzi.

Nie oryginalność decyduje w słowach, lecz umiejętność ich odnawiania, poszukiwania słów odmilkłych, świętokrzyskich i kochanowskich, szarzyńskich i sowizdrzalskich, morsztynowych i potockich i od Baki do ... baczyńskich.

Do nich dochodzą nasze słowne zbanalizowane, jak kobiercowe metafory i porównania, co wypadły z obiegu na zasadach przeceny. Odnawianie ich codzienności wytartej i nadawanie jej nowej wartości wbrew dewaluacjom.

W nich dopiero istnieje pole do opisu oryginalnego przez docieranie z odwagą do pierwotnego spojrzenia, dzięki któremu odkrywamy pierwotny blask i pierwotną ostrość. Taka oryginalność dopiero staje się czytelna.

Przy tym odezwała się odmilkłość Kamieńska: — Jest ono koniecznością naszych czasów. Wojna słowa zdewaluowała. Zginęły uświęcone kategorie wartości na rzecz przypadku i brutalnej przemocy. A potem odbudowa kraju i powielana wiara w człowieka społecznego, bez liczenia się z indywidualnym. Słów cztery działania: dodawanie z odejmowaniem, mnożenie z dzieleniem. Słowa umacniają słowa, słowa przeczą słowom. Zegar nastawiony na: TAK i NIE.

— Masz rację, moja żoneczko, lecz to dotyczy słów w ogóle, a nie języka poezji czy też prozy, która w swoim literackim kształcie tkwi mimo wszystko w poezji. Nie w oryginalności, ale w odnowieniu słowa odzyskują wartość.

— Pozwólcie, moi kochani, że i ja wtrącę swoje trzy grosze. Jesteśmy narodem co cierpiał i dotąd cierpi na różne niedobory i niedostatki. Za to w szafowaniu słowem chyba jesteśmy narodem przodującym. Przypominamy z „Wesela” Pana Młodego. To nie tylko do Rydła pasuje: i znów ta sama ballada, Polak gada, gada, gada... da capo al fine.

Ja sam też za wiele gadam i dlatego w poezji szukam nie wielosłowia, lecz najmniej słów, niekoniecznie w znaczeniu awangardowym. Raczej

w tradycyjnym: czarnolesko-jasnorzewskim od fraszek do „Pocałunków”.

— Racje racjom nie są równe, ale jeśli chodzi o mnie, to w moim przekonaniu nadmierna zwięzłość wywołuje uczucie niedosytu. Na dłuższą metę krótkie wiersze nużą, zarówno jednostronne, jak i bardziej urozmaicone. Ich krótkie spięcia raczej męczą niż zachwycają. Cierpią na zadyszkę i nie ma w nich szerszego oddechu. Bez niego w tak bardzo skomplikowanych czasach, w jakich żyjemy, nie sposób z wielu stron jednocześnie spojrzeć na tę samą sprawę, na to samo zagadnienie. Wbrew niedosytowi.

— Małosłowie czy wielosłowie, tak czy owak – Na początku było SŁOWO.

To wszystko wywołał pierwszy dzwonek, w którym również odezwały się inne dzwonki rozmów naszych w tym jakże różnym i zarazem wspólnym trójgłosie, którego inspiratorami i słuchaczami były świątki niewysłowne.

Z wierszy krótkich jednak nie zrezygnowałem. Przecież były one moim Alter ego, a nie Ego bezpośrednio związanym z życiem działacza oświatowego i społecznika z powołania terenowego. W wyczerpaniu i w niepowodzeniach to od nich uciekałem do samotności i do najmniej słów. W ten sposób osoba trzecia wspomagała pierwszą i drugą.

Dzięki poezji nie zgubiłem samego siebie w społeczności. Przeciwnie, przez katharsis słowa odświeżonego siebie społecznie odnawiałem i umacniałem fizycznie i psychicznie mimo zaawansowanego wieku.

Nie ograniczyłem się jednak do najmniej słów w ich nowej nieco dłuższej transfiguracji, czego dałem dowód w „Obrazie głosu”, w znaczeniu *vocis imago* będącym metaforą echa, i w „Zimorodku” groteskowym z ironiczną postawą w odniesieniu do wybranych postaci i do samego siebie.

Poza tym ostatni cykl pt. „Biała kropka” jest jakby dyskusyjnym echem rozmów Śpiewakowych odnoszącym się nie tak do wierszy dłuższych, jak do dłuższych wersów. Coś w rodzaju aurea mediocritas między wersem i wierszem.

Nim jednak do tego zbioru z echami mojej twórczości z roku 1967 doszło, miałem już krytyczny i zarazem katastroficzny w odniesieniu do mej osobowości rok 1965. Powiatowy Żuromin zapragnął odebrać Bieżuniowi Liceum. Stoczyłem z nim bezkrwawą walkę i odniosłem zwycięstwo. Niestety, dla mnie samego pyrrusowe: w dowód zasług zmuszony byłem przejść na emeryturę.

Przestałem być dyrektorem i nauczycielem, posłem i radnym. Poezja, która mnie wspomagała, straciła rację bytu. Była już za późna, żebym mógł

się na niej oprzeć. Powielać siebie nie chciałem, chociaż warsztat tego się ode mnie domagał przez nawyk prawie że trzydziestu lat.

A tu millenium na karku. Jak je godnie uczcić. Od łaciny się zaczęło i od szkół, które uratowały dla poezji przede wszystkim Horacego. Od jego Sabinum droga wiedzie od Jana z Czarnolasu, któremu zawdzięczamy niedoścignione horacjańskie parafrazy i pieśni pisane w jego stylu.

Dysponuję warszatem poetyckim z apollinowym nastawieniem na ingenium i ars, ale nie jestem profesjonalistą, chociaż łaciny uczyłem w latach tajnego nauczania i przez dwadzieścia lat w Liceum. Ukoronowaniem nauki szkolnej z tego języka było pamięciowe opanowanie trzech do pięciu pieśni.

Kiedy debiutowałem jako poeta, było millenium urodzin Horacego. Wprowadzony do szkół, dzięki szkołom, gramatykom i późniejszym filologom znalazł w nich wielowiekowy azyl aż do dni naszych, kiedy język łaciński w szkołach ginie. Z tego powodu należy podnieść rangę przekładów, zwłaszcza Horacego. W szerszym zasięgu i większym wyborze aż do pełnego wydania.

Podstawowe założenie: Horacy nie może się stać podwójnie ubogi. Wyzuty z klasycznej łaciny powinien w naszym języku utrzymać, jak dotychczas oddziaływanie przekładowe dzięki poezji audialnej instrumentacyjnie bogatszej od wierszy intonacyjno-wizualnych, jakże ubogich w odbiorze głosowym.

Mocnym fortuna sprzyja – a ja przecież byłem słaby. Skąd więc ta moc się wzięła? Z kłęski życiowej, co mnie zmobilizowała do walki, żeby odnieść zwycięstwo; z nienapisanej ody do starości: a ze starością uczmy się walczyć wbrew starości; i z klasycznego amatorstwa, co śmiałym sprzyja: nie byłem filologicznym niewolnikiem, a stałem się horacjańskim wyzwoleniec.

Wybrałem Horacego, jako autora kanonu liryki starogreckiej, aleksandryjskiej i rzymskich neoteryków jednocześnie, żeby przez adekwatny przekład wzbogacić własną schyłkową twórczość i siebie w niej odnaleźć.

Postanowiłem się na nim skoncentrować i żadnego innego autora nie tłumaczyć, przyjmując za dewizę: nic, co horacjańskie, nie jest mi obce. Nie na rok, nie na dziewięć, nie na dwa razy dziewięć, lecz do końca życia.

Zamknąłem się w czterech ścianach i od 1 września 1965 roku sam na sam z Horacym borykać się zacząłem z trudnościami. Sięgnąłem nie do wydań szkolnych, lecz do podstawowego naukowego wydania Klingerowskiego z roku 1959 z odwołaniem się głównie do komentarzy Heinzege i do wielotomowego łacińsko-polskiego słownika Plezi. Nie bez korzystania

z przekładów polskich bardziej w zasięgu merytorycznym niż artystycznym, żeby wiernością i niewiernością zbytnio nie grzeszyć. W wierszomanii i w poetyczności.

Horacy w swych pieśniach, zwanych także odami, współczesność wzbogacił artystyczną przeszłością. Idąc śladem stopy antycznej ja też aluzyjnie wpłatałem polskich autorów od Kochanowskiego do dni naszych, żeby zaznaczyć ich współdziałanie, bez odwoływania się do archaizacji przebrzmiałej.

Oczywiście nie mogło być mowy o naśladowaniu wiersza łacińskiego iloczynowego, toteż w przejściu do naszego akcentowanego korzystałem z rekompensaty łączącej we frazie kadencje metryczne z syntaktycznymi, wiodące do interferencji w splotach fal intonacyjnych.

Umilkły we mnie pasje zawodowe i wyrosłe z działalności społecznej, pasje pierwszej i drugiej osoby z ambicjami autorskimi trzeciej. Umilkły po to, żeby spotęgować moje zamysły translatorskie. Bez nich wątpię, żeby to moje *beatum scelus* – *zuchwalstwo*, na przekór filologom, doszło do skutku.

Mój twórczy dzień na poły tkwił w dniu poprzednim od godziny 15 do 22 i nieraz dłużej. Zaczynał się od czytania na głos pieśni i wgryzania się w treść oryginału w dociekaniach tekstowych aż do przekładu możliwie dosłownego z uwzględnieniem materii i magmy kreacyjno-poetyckiej.

Z takim przekładem *in spe* zasypiałem i następnego dnia, najczęściej o 6 rano zaczynała się twórcza praca przekładowa, podobnie jak u Horacego od pierwszej decydującej strofki. Służyła ona za wzór, w którym wbrew dotychczasowej tradycji rezygnowałem z rymów w wersach nieparzystych.

Pracowałem nad każdą pieśnią, zależnie od jej długości, od jednego do pięciu dni bez przerwy, a nawet i więcej. Szczególnie przy pierwszych dziewięciu pieśniach wzorcowych, w strofach na ogólną ilość trzynastu. Niestety, przy skrótach sylabicznych nie zawsze adekwatnie dobranych.

Mimo to po czterech miesiącach już miałem za sobą księgę pierwszą, a po półroczu drugą dzięki strofom safickiej i alcejskiej, które w moim przekładzie najlepiej wypadły. Przeszedłem do księgi trzeciej i przez miesiąc dreptałem w miejscu przy borykaniu się z odami rzymskimi. Musiałem przy nich pokonać opory w odniesieniu do wierszy długich, obcych mojej poetyce.

Po tym przełomie w pracy trzy miesiące nad trzecią i dwa nad księgą czwartą, traktowaną w przekładach jak piąte koło u wozu. A ta właśnie księga wypadła w tłumaczeniu nie gorzej niż druga. Pod przewodem pindarycznej.

Po roku z „Pieśniami” zwróciłem się do PIW-u, jako do wydawnictwa upoważnionego do łacińskich przekładów. Redakcja długo nie odpowiada-

ła. Nie wiedziała, co z tym fantem uczynić. Przecież nie jestem profesjonalistą. Zresztą kto będzie czytał w całości Horacego, choćby w samych pieśniach. W bibliotece celofanowej projektuje się wybór tłumaczeń z różnych szuflad przekładowych, coś w rodzaju składka na ubożego dziadka. Zrezygnowałem. W „Czytelniku”, gdzie drukowałem większość moich wierszy, otrzymałem informację, że Horacego należy czytać tylko w oryginale łacińskim, chyba że ktoś jest znakomitym odważniakiem bezprzykładowych przekładów.

Warszawa zawiódła i zawiódł Kraków. Wydawnictwo Literackie maszynopis odrzuciło, bo tego rodzaju redakcji o pionie klasycznym nie posiada. Ręce opadają. W dolinie Mazowsza, gdzie nie brak kamieni, a góry istnieją jedynie za górami – syzyfowe prace. Zatem po klęsce nie zwycięstwo, lecz nowa klęska.

Wbrew temu nie poddaję się. Upadki są po to, żeby powstawać i szukać nowego wyjścia. Bardziej miarodajnego. Zadzwoiłem do Śpiewaków. Odezwała się Anna, która przecież studiowała filologię klasyczną. Mówię, że przełożyłem PIEŚNI Horacego. Wszystkie? Tak, wszystkie. Zachnęła się. Janka nie ma. Jest w Oborach. Wóz lub przewóz. Wyrok przyjmę jako wyrocznię. Zniewoliłem natarczywością prośby. Proszę przyjechać. Czekam. Na odczepnego – pomyślałem.

Na gołębich skrzydłach lecę. Dzwonię. Drzwi się otwierają i ja się otwieram z Horacym. Czytam pieśni, drugą, czwartą (o wiośnie), szóstą – prosi o powtórzenie ostatniej strofki. Powtarzam:

Ja tylko uczty, tylko dziewcząt
z chłopcami na paznokcie boje,
ja tylko krótkie pieśni śpiewam
jak miłości moje.

Potem idzie pieśń IX do Sokrate, XIV do okrętu i wreszcie XVII do Tyndarydy, co odezwała się w Annie przy słowach: „Tu lesbijskiego wina puchar w chłodzie” – Wesela chwila osobliwa, Horacy objawił się na nowo. Stawiam wino. Zamiast Janka Seniora wypije z nami toast Janek Junior.

Podaliśmy pucharom dłonie i spełniliśmy wina kielichy. To był translator-ski toast mego życia, bo w nim jednocześnie kryło się bez wawrzynu małe ukoronowanie laurowe – Stephanos, laureola Daphne.

Wkrótce potem dzięki J. Z. Jakubowskiemu, Naczelnemu Redaktorowi POEZJI, w millenijnym, poświęconym tysiącleciu Polski numerze tego

miesięcznika ukazały się moje pierwsze przekłady ze słowem wprowadzającym Anny Kamińskiej pt. „Odkrycie Horacego”. Z kolei przez Jakubowskiego trafiłem do Kumanieckiego i ukazałem się w MEANDRZE, w którym życzliwe poparcie znalazłem dzięki Lidii Winniczuk. Po czym drzwi redakcji zamknięte dla mnie stały się otworem.

Mimo to dla Wydawnictw jeszcze nie istniałem, bo redakcyjnych profesjonalistów miałem przeciw sobie. To wziął pod uwagę Janek Śpiewak i poradził mi znaleźć wydawcę przez BIBLIOTEKĘ POETÓW, której w LSW był jednym z redaktorów. Nie bez starań, co się wlokły przez lata, poskutkowały dopiero wtedy, kiedy po trzech, a może i więcej redakcjach, skierowano do druku PIEŚNI. Głównie dzięki Janowi Parandowskiemu. Nie bez interwencji A. J. Śpiewaków. Nim jednak „Pieśni” ukazały się dwujęzyczne, pojawił się Horacy w wyborze. Miała to być jaskółka wiosny, a to okazał się zimorodek, co mrozem dmucha, wybór bowiem oparłem nie na mych przekładach najlepszych, lecz najbardziej znanych ze szkolnych lektur. Ich obiegowy nadmiar propozycji i konwencji nie pomógł w odnalezieniu własnej koncepcji, ale raczej zaszkodził. Poza tym Horacy, poeta elitarny, w popularnym wyborze wymagał innego słowa wstępnego niż ten, na jaki ja się zdobyłem.

Przez tę oktawę lat walki, w której nie odrzucałem tarczy i z nią, a nie na niej gotowy byłem walczyć aż do zwycięstwa – znajdowałem również miesiące, w których sam siebie odnajdywałem przez regenerację.

Widać to najlepiej w zbiorze wierszy „Bez opamiętania” (1969), tematycznie bardziej urozmaiconym i formalnie bardziej rozbudowanym. O tym świadczą cykle wierszy: ogólnoludzkich i obywatelsko-patriotycznych, autoironicznych i klasyczo-horacjańskich, osobistych i wspomnieniowych.

Pokój i niepokój, dzień i noc szukają podwójnego wyjścia. W tej sytuacji dobrze i źle z sobą się mieszają i coraz bardziej źle góruje nad dobrze, bo „jakże mówić dobrze, kiedy o wszystkich, co mówili dobrze, mówią źle”.

To kontrowersyjne spojrzenie odnosi się nie tylko do czasów współczesnych, lecz i do dawnych antycznych w perspektywicznym spojrzeniu bardziej nowoczesnym, bez kadzideł całopalnych i bez gloryfikacji.

„Bez opamiętania” to po „Zamysłach” drugie wyzwolenie, w którym przestałem być tylko poetą tradycyjnym, prowincjonalnym i mazowieckim. Jakbym z tych trzech zamkniętych szuflad się wytrychem wyłamał.

Pierwszy z tą nową koncepcją mojej twórczości w recenzji z „Twórczości” wystąpił młody poeta i krytyk Jarosław Markiewicz, z którego cytuję:

„Od kiedy pośród żywych zabrakło Staffa, nie mamy wśród – poza Gołębiowskim – kto wyposażyłby poezję w pamięć swej świadomości.”

Po tym zamykającym bez opamiętania następuje drugie po „Ziarnie życia” podsumowanie mojej twórczości w wyborze pt. „Do dnia białego”. Po liryce tradycyjnej wzbogacenie jej niektórymi zdobyczami poetyki awangardowej. Z tym ograniczeniem, że metafora z najdłuższymi iskrami spieć nie wywołująca światła rozjaśniającej raczej wiedzie do nagiego wiersza Różewicza, u mnie najczęściej przeniesionego do tradycyjnego wiersza.

Po tym wyborze z Horacym wlokącym się za mną dla osobistej profilaktyki od poezji przechodzę do prozy, którą już wcześniej zacząłem uprawiać, i po roku wydaję tom opowiadań pt. „Stworzenie” (1972).

Chodzi w nim o czwarty dzień boskiego stworzenia, które w moczarach rzeki Wkry zostało zaprzepaszczone. Pozostały po nim jedynie stygmaty, co się wciąż odnawiają i coraz bardziej pogłębiają w swoim zielonym piekle.

Do tego dnia wzrok przeniosłem nie w czasie jego trwania, lecz już jako działacz po uregulowaniu rzeki Wkry i zagospodarowaniu jej doliny, jak też po skomasowaniu łąk i pól, chociaż o tym jeszcze nic nie piszę.

Patrzę i samemu sobie nie wierzę. Dzieli mnie od pierwszych moich wspomnień więcej niż sześćdziesiąt lat, które mnie o całe wieki od siebie oddaliły. Stąd do tego świata wtargnęła mitologia biblijna i ludowa z baśni, podań i legend. Prawda i zmyślenie, nierozzerwalnie związane z sobą.

To jest mój neoromantyzm bardziej skonkretyzowany niż młodopolski. Odrzuciłem od niego świat zmitologizowany i w ten sposób przeszedłem do neopozytywizmu po roku 1905, jak prowincja już zapóźnionego.

Bohaterami tego schyłkowego pozytywizmu są Ludwik z Bielunia (Fortunat) i Doktor Faustyn. Pierwszy to postać raczej balzakowska. W jednej osobie parweniusz i megaloman, którego poznajemy wzorowane na Wokulskim blaski i stracone złudzenia. Drugi bardziej skomplikowany: wiąże w sobie romantycznego syna Fausta, stąd Faustyn, z pozytywistycznym doktorem, lecz nie w sensie pracy organicznej, tylko w znaczeniu pracy u podstaw.

Opowiadania, chociaż nie były szeroko recenzowane, jednak zostały przez krytyków przyjęte zyczliwie nie przez byle kogo. O tym świadczy autorytet Wacława Kubackiego z „Życia Warszawy”, co „Stworzenie” tak wyróżnia, że wśród książek miesiąca uznaje ją za jedną z książek roku. Podobnie w „Twórczości” L. Bugajski mój zbiór opowiadań nazywa książką piękną, godną stanąć obok „Stref” Kuśniewicza, dotąd jeszcze mi nieznaney.

Dodaję do tego ponadto ocenę W. Żukrowskiego, który w liście skierowanym do mnie nazywa moją prozę od strony polszczyzny za znakomitą... tylko, czemu tak mizerny nakład. Czytam w domyśle: żeby jej nie zauważono?

Widocznie zawiniło Wydawnictwo, co moje opowiadania potraktowało jako produkt uboczny w odniesieniu do bibliofilskiego wydania „Pieśni” dwujęzycznych, pierwszy raz w Polsce.

Tyle lat czekałem i warto było czekać. Wystrój znakomity, wyposażony we wszystkie możliwości edytorskie: graficzne, podług projektu M. Szuki, co nie darmo takie nazwisko ma z powołania, i L. Urbańskiego, od Urbs = Roma, skąd głowy rzymskie, i poligraficzne od DOMU SŁOWA POLSKIEGO, wyborny papier dziełowy i druk oryginalny ciemnozgniły. A co mówić o oprawie płóciennej z łódzkich jedwabniczych zakładów – złotawe nereidy na błękicie morza.

Nie darmo w obwolucie do tej książki prowadzą schody ze świątyni Westy podług zdjęcia Anny Kamińskiej i nie darmo wolumin u góry wieńczy tytuł EXEGI MONUMENTUM odnoszący się nie tylko do pieśni Horacego lecz i do całego wyposażenia, co znacznie przerosło moje możliwości przekładowe.

Nic więc dziwnego, że książka ta za wartości artystyczno-edytorskie uzyskała główną nagrodę w XVI Konkursie Wydawców na najlepszą książkę 1973 roku, i nic dziwnego, że to piękno wyposażenia zachęciło mnie do przełożenia wszystkich dzieł Horacego, jakby filologom na przekór.

Poświęciłem im 15 lat, z których ostatnie siedem, po skontrolowaniu pieśni i po przetłumaczeniu „Pieśni wiekowej”, przypisałem głównie epodom, satyrom i listom. W różnych wersjach, do których nieustannie wracałem.

Całe półki zawałem w Redakcji, że aż Wydawnictwo w nich się zgubiło. Dopiero, gdy sam w moich maszynopisach się odnalazłem, zaprowadziłem ład i porządek, dzięki telewizyjnemu programowi Mikołajczyka „Wszystko za wszystko”. Zakłady Graficzne w Toruniu zobowiązały się w ciągu roku wydać Horacego „Dzieła” w „Bibliotece Klasyki Polskiej i Obcej”.

Wydawnictwo LSW i drukarnia w Toruniu słowa dotrzymały. Druk został ukończony w przełomowym sierpniu 1980 roku. Dwutomowy, dwujęzyczny w standardowej oprawie z rogiem obfitości o nakładzie 20 000 egz. zginął z półek księgarskich w ciągu jednego miesiąca.

Zginął i razem z nim zginęła wieść, w tym i następnym roku przełomowym, o samym przekładzie bez rzeczowej oceny, gdyż jedną ze znanych

mi recenzji Stabryły z „Nowych Książek” z odszczeknięciami słownymi lub co najwyżej zdaniowymi nie sposób uznać za merytoryczną.

Ladny mi klasyk. Wieki walczyły, żeby wiekom przekazać całego Horacego a on, jako profesor, uznaje, że wystarczy wybór i to jeszcze jaki: mozaikowy, spod różnych piór, i to bez należytego uwzględnienia wartości warsztatu poetyckiego i powołania twórczego.

Nie mam zamiaru bronić swego przekładu, ale powoływanie się na sąd Kołodziejczyka w odniesieniu do „Wyboru poezji” (1971), a nie w odniesieniu do „Pieśni” takich znawców Horacego, jak K. Zarzycka-Stańczak (w „Twórczości”) czy A. Wójcik (w „Nurcie”) dowodzi o popisywaniu się ignorancją.

Uzasadnione uwagi biorę pod uwagę, bo nieustannie w odskokach wciąż jeszcze pracuję nad moim Horacym. Czy on jest dobry, czy jest nierówny, nie mnie o tym sądzić, ja walczę i walczyć nie przestanę o to, żeby się w mojej poetyce sprawdził. Jeśli ją ktoś bardziej unowocześni, to i tak będzie moją zasługą, że moje osiągnięcia stały się szczeblem do sławy grodu.

Jeszcze wciąż pracuję nad Horacym jednotomowym i jednojęzycznym. Wprowadziłem przeszło dwieście poprawek nowych, sześć pieśni gruntownie przerobiłem. Poza tym napisałem nie wstęp, ale nowy esej o twórczości Horacego.

Tworzył w okresie przełomowym, tak jak my żyjemy, oczywiście w innej rzeczywistości. Był przeciwnikiem ekstremalności i wahadłowym zwolennikiem złotego środka w swej liryce obywatelskiej, w której się stara łączyć epikureizm prywatny, domowy ze stoicyzmem *virtus* rzymskiej. W labiryncie życia kierował się nitką Ariadny, żeby w nim się nie zgubić.

Bardziej skomplikowanie przedstawia się w liryce mnożącej trudności metryczne wiersze, odgrywające niemal że rolę pierwszorzędną, a tymczasem przejście od wiersza iloczasowego do przyciskowego, charakter wiersza zubożyło w jego składnikach akustycznych i przez rekompensatę w klauzuli wersów znalazły się rymy, co się z biegiem czasu tak rozpanoszyły, że dla wielu rym stał się wykładnikiem wiersza.

W tej warstwie strukturalnej Horacy należy do bezpowrotnie minionej przeszłości i jeśli w tym zasięgu korzystamy z wiersza tradycyjnego, to w sposób umiarkowany, z traktowaniem trudności tak po prostu, że czytelnik przy ich odbiorze trudu autorskiego bezpośrednio nie odczuwa.

Udowodnię to na przykładzie wiersza asklepiadejskiego, który otwiera i zamyka trzy księgi „Pieśni”. I jeśli pierwszą nazwiemy kamieniem węgielnym, to ta ostatnia jest jakby zwornikiem dla trzech ksiąg pierwszych,

które w czwartej księdze mają swoje skarpy i wsporniki sztukateryjne.

Dla tego wiersza asklepiadejskiego za odpowiednik uznałem akcentowy logaed: najpierw trocheicznej trypodii, zamkniętej amfibrachem, a kiedy się frazowo nie sprawdziła w sylabicznie skróconej formie wersu, trocheicznej tetrapodii z amfibrachem.

W sumie więc odrzuciłem po trzynastozgłoskowcu (7+6) najbardziej popularny jedenastozgłoskowiec (5+6) na rzecz jednozgłoskowca (SsSsSsSsSs), który Łoś uznał za niebywały nawet w formie 6+5. Taki to schemat rytmiczny przyjąłem dla tej pomnikowej pieśni.

Od „Exegi monumentum” przystąpiłem do przekładu Horacego i dopiero po dwóch dziewięcioleciach horacjańskich niemal wyraz po wyrazie pokonywałem trudności, żeby je frazowo utrwalić w rytmicznym i syntaktycznym kształcie, i żeby dzięki temu słowo znalazło się na właściwym miejscu.

Trzy redakcje były już drukowane w oparciu o dziewięciozgłoskowiec, czwarta znalazła się w „Osnowie”, piąta w „Życiu Literackim” i wreszcie szóstą jedenastozgłoskową przytaczam jako ostatnią:

Wzniósłem pomnik trwały, trwalszy od spiżu,
znacznie wyższy od królewskich piramid:
Akwilony przewyciężę, żarłoczny
deszcz, lat niezliczony szereg. Wrotami
wieków umknę Libitynie. Nie wszystek 5
umrę. Świeży wciąż rósł będę zaszczytną
sławą – póki kapłan z cichą westalką
stapał będzie na stopniowy Kapitol.
Gdzie Aufidus wartko płynie gwałtowny,
gdzie zaręczny Daunus rządził w bezwodnym 10
kraju ludów, będę mówił ich głosem:
z poniżonych wyzwolony ja wniósłem
pierwszy do italskich stopy eolskie.
Dumę moich spełnień przyjmij za cenę
zasług i życzliwa czoło delfickim 15
liściem lauru opasz, o Melpomene.

„Non omnis moriar”, jak echo (vocis imago), jednocześnie się odezwało w „małych fugach” wchodzących w skład „Małych poematów”, z których „Septet mazowiecki” i „Alter ego” już wcześniej przemówiły.

To „Nie cały umrę” należy do cyklu dziesięciu sonetów o wersach czterozgłoskowych i dwóch rymach: jeden w kadencjach zamyka strofy cztero-

wierszowe, a drugi – tercety. Sonety skrótowe niemal do ostatnich granic.

Próg, drzwi, okna mówią o wzajemnym obcowaniu, lustro, piec, szafa, stół przemawiają we własnym imieniu przedmiotowe, po nich, krzesło, łoże i w imieniu tych wszystkich mówi POKÓJ razem ze mną o swej obecnej i przyszłej doczesności. Ich właściciel już się prawie nie liczy, one natomiast jako martwe, na ironię, będą żyć dłużej ode mnie, jeśli ulegną renowacji.

Najwięcej z tych fug z kontrapunktowymi ripostami cenię lustro, które u schyłku podeszłego wieku samotnikowi ujawnia, że nie jest samotny, ponieważ starość odbita w lustrze jakby wydobyła z jego twarzy twarz starego ojca i jeszcze straszej matki, które w obliczu syna żyją – są obecne.

W rok po „Małych poematach” szekspirowska „Wilgotna gwiazda” przyświeca moim ostatkom, wcale nie karnawałowym, lecz przedpopielcowym, post zapowiadającym. Kompozycja zmierzająca do wielkiej metafory.

Ich trzy dni skupiają się i zamykają w trzech cyklach wierszy: osobistym z pokłosiem liryki miłosnej pozaosobistej, prowincjonalno-mazowieckim i refleksyjnym wokół wątpliwego zdrowia i śmierci zagładającej w oczy tych zwłaszcza, co już odeszli, żeby żyć pośmiertnie.

Razem te trzy cykle łączy w jedno „Tryptyk domowy”. Jako ostatni sukcesor w nim dożywam lat swoich z nadzieją, że kiedy odejdę, ten dom, co dębem stoi, stanie się POETYCKIM DOMEM POLONISTY, żeby w książkach i wierszach nasz od Jana z Czarnolas razem z Horacym w Sabinum Biezuńskim mieszkał.